

K A T J A M I L L A Y



MORZE

S P O K O J U

*Chwytająca za serce, emocjonalna podróż
od pierwszego do ostatniego słowa*

Colleen Hoover



K A T J A M I L L A Y

MORZE

S P O K O J U



ENDORFINA



ROZDZIAŁ 1

Nastia

Śmierć wcale nie jest taka straszna, kiedy już raz przez nią przejdiesz. A ja to zrobiłam.

I już się jej nie boję. Boję się całej reszty.

* * *

Sierpień na Florydzie oznacza dla mnie trzy rzeczy: upał, uciążliwą wilgotność i szkołę. *Szkoła*. Nie byłam w niej od ponad dwóch lat. Bo nie liczę przecież lekcji z mamą przy kuchennym stole. Dziś jest piątek. Szkoła zaczyna się w poniedziałek, a ja jeszcze się nie zapisałam. Jeśli nie zrobię tego dzisiaj, to w poniedziałek nie dostanę planu lekcji i będę musiała pójść po niego do sekretariatu. Wolałabym uniknąć tej klasycznej sceny, rodem z filmów z lat osiemdziesiątych: oto nowa uczennica wchodzi spóźniona do klasy i wszyscy natychmiast zaczynają się na nią gapić. Nie byłaby to może najgorsza rzecz w moim życiu, ale i tak nie mam ochoty jej przeżywać.

Do szkoły zawozi mnie ciotka. Budynek jak każdy inny. Jeśli nie liczyć ohydnych kolorów i nazwy na tabliczce — Mill Creek Community High School — nie różni się niczym od tej, do której chodziłam wcześniej. Margot (nie pozwala mi do siebie mówić „ciocia”, bo jej zdaniem to ją postarza) wjeżdża na parking, staje i wyłącza radio, które grało przez całą drogę. Na szczęście nie była to długa przejażdżka, aczkolwiek hałas zaczął działać mi na nerwy. Głośne dźwięki zagłuszają te ciche, a cichych należy się bać. Jakoś to wytrzymuję, ale to tylko dlatego, że jesteśmy w samochodzie, a w samochodach zwykle czuję się bezpiecznie. Co innego tam — na zewnątrz. Na zewnątrz nigdy nie czuję się bezpiecznie.

— Po wszystkim twoja mama oczekuje telefonu od ciebie — mówi Margot.

— Moja matka oczekuje ode mnie wielu rzeczy, których jednak nigdy nie dostanie. W porównaniu z innymi prośbami ta nie jest szczególnie trudna do spełnienia, ale to nie oznacza, że zamierzam to zrobić.

— Wyślij jej przynajmniej smsa. Wystarczą cztery słowa: *Zapisałam się. Wszystko gra.* W przypływie hojności mogłabyś dorzucić na koniec uśmiechniętą buźkę.

Spoglądam na nią. Margot jest młodsza od mojej mamy o dobre dziesięć lat. Jest jej przeciwieństwem niemal w każdym aspekcie. Nawet nie jest do niej podobna, co oznacza, że do mnie też nie jest podobna, bo ja jestem niemalże kopią mojej matki. Margot jest ciemną blondynką, ma niebieskie oczy i nieustanną opaleniznę, którą z łatwością utrzymuje, pracując w nocy i drzemiąc przy basenie w ciągu dnia. Jest pielęgniarzką i powinna wiedzieć, że to nie jest zdrowe. Ja mam bladą, niemal białą skórę, ciemnobrązowe

oczy i długie, kręcone, niemal czarne włosy. Ona wygląda jak z reklamy bronzera. Ja wyglądam jak trup. Nikt by nie uwierzył, że jesteśmy ze sobą spokrewnione, a to akurat jedna z niewielu rzeczy na mój temat, która jest prawdą.

Na jej twarzy pojawia się arogancki uśmiezek — wie, że nawet jeśli nie przekonała mnie do zadzwonienia do matki, to przynajmniej udało się jej zasiać odrobinę poczucia winy. Margot jest jedną z tych osób, których nie da się nie lubić. To sprawia, że trochę jej nienawidzę, bo wiem, że nigdy nie będę taka jak ona. Przyjęła mnie pod swój dach nie dlatego, że nie miałam dokąd pójść, ale dlatego, że nigdzie indziej nie byłabym w stanie wytrzymać. Na szczęście dla niej, gdy zacznie się szkoła, będzie widywała mnie tylko przelotnie. Nasze drogi raczej nie będą się krzyżować.

Wątpię, by zajmowanie się zgorzkniałą, ponurą nastolatką było marzeniem jakiejś trzydziestoletniej singielki. Ja na pewno bym tego nie zrobiła, ale nie jestem dobrym człowiekiem. Może właśnie dlatego uciekam od ludzi, którzy kochają mnie najbardziej. Gdybym mogła zamieszkać sama, natychmiast bym to zrobiła. Z wielką chęcią. Wolałabym być sama niż musieć udawać, że wszystko ze mną w porządku. Ale nie mam wyboru. Muszę mieszkać z kimś i cieszę się, że przynajmniej ona nie kocha mnie tak bardzo. Jestem wdzięczna Margot. Jestem, choć jej tego nie mówię. Niczego jej nie mówię. Niczego.

W sekretariacie panuje zgiełk i zamieszanie. Telefony dzwonią, kserokopiarki pracują na pełnych obrotach, wszyscy mówią na raz. Do lady ustawiły się trzy kolejki. Nie mam pojęcia, w której powinnam stanąć, więc po prostu wybieram tę najbliższą drzwi. Margot weszła za mną do środka i teraz ciągnie mnie za sobą, omijając

kolejkę i podchodząc prosto do sekretarki. Ciocia ma szczęście, że ją zauważyłam. Gdybym nie wiedziała, że to ona, już leżałaby twarzą na ziemi i wbijałabym jej kolano w plecy.

— Jesteśmy umówione z dyrektorem Armourem — mówi zdecydowanym tonem Margot, odpowiedzialna, dorosła osoba. Odgrywa dziś rolę mojej matki. Nieczęsto widuję ją w takiej akcji. Zwykle woli być równą cioteczką. Nie ma własnych dzieci, tak więc kosztuje ją to nieco wysiłku. Nie wiedziałam, że jesteśmy umówione z dyrektorem, ale dostrzegam w tym sens. Sekretarka, kobieta około pięćdziesiątki o niezbyt miłym wyglądzie, macha ręką w stronę kilku krzeseł stojących rzędem obok zamkniętych drzwi z ciemnego drewna.

Musimy zaczekać. Siadamy, a ja z ulgą przyjmuję, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Anonimowość jest przyjemna. Zastanawiam się, jak długo będę mogła się nią cieszyć. Patrzę na siebie. Nie ubrałam się odpowiednio na tę okazję. Myślałam, że wpadnę tu tylko na chwilę, wypełnię jakieś formularze, pokażę im książeczkę szczepień i będzie po wszystkim. Nie spodziewałam się tłumów innych uczniów. Mam na sobie džinsy i czarny T-shirt w serek. I jedno i drugie trochę — no dobrze — znacznie za obcisłe, ale poza tym mało wyróżniające się. Nieco więcej wysiłku włożyłam w dobór butów. Czarne szpilki. Obłądnie wysokie — jedenaście centymetrów. Noszę je dla efektu, a nie po to, by dodać sobie wzrostu, nawet jeśli faktycznie mogłabym być wyższa. Dziś nałożyłam je tylko dlatego, że chciałam poćwiczyć. Już całkiem nieźle udaje mi się utrzymywać równowagę, ale uznałam, że przyda mi się próba generalna. Wolalabym nie potknąć się pierwszego dnia szkoły.

Spoglądam na wiszący na ścianie zegar. Wskazówka sekundowa tyka w mojej głowie, chociaż wiem, że to niemożliwe i nie mogę jej usłyszeć w panującym tu tłumie. Chciałabym mieć moc wyłączenia tego hałasu. Hałas wzmagają niepokój. Dociera do mnie zbyt wiele dźwięków na raz i mój mózg wysila się, próbując je rozdzielić i posegregować, ale to niemożliwe przy wszystkich tych urządzeniach i głosach zlewających się ze sobą. Rozluźnię i zaciskam dłoń leżącą na kolanach, mając nadzieję, że zaraz będziemy mogli wejść.

Ciężkie drzwi otwierają się kilka minut później — choć mnie wydaje się, że minęła godzina. Do środka zaprasza nas na oko czterdziestokilkuletni mężczyzna w koszuli i kompletnie do niego niepasującym krawacie. Wita nas ciepłym uśmiechem i zajmuje swoje miejsce w ogromnym skórzanym fotelu. Dzieli nas równie wielkie biurko. Zdecydowanie za duże jak na to pomieszczenie. Dochodzę do wniosku, że to celowe zagranie — mebel ma onieśmielać, bo sama postać dyrektora raczej nie budzi respektu. Jeszcze zanim otworzył usta, już uznaję go za dobrodusznego. Mam nadzieję, że się nie mylę. Takiego dyrektora potrzebuję.

Siadam na jednym z dwóch foteli naprzeciwko biurka pana Armoura. Fotele są mniejsze, ale dopasowane kolorystycznie. Margot zajmuje drugi i zaczyna mówić. Przez kilka minut słucham, jak wyjaśnia dyrektorowi moją „wyjątkową sytuację”. *Wyjątkowa sytuacja, zaiste*. Zaczyna wchodzić w szczegóły, a pan Armour zerka na mnie. Jego źrenice rozszerzają się odrobinę, kiedy mnie w końcu rozpoznaje. *Tak, to ja*. Słyszał o mnie. Gdybym uciekła gdzieś dalej, może udałoby mi się tego uniknąć. Moje nazwisko nic by mu nie powiedziało. Moja twarz byłaby dla niego

obca. Ale znajdujemy się zaledwie dwie godziny drogi od „strefy zero”. Wystarczy, że jedna osoba wszystko skojarzy i wracam do punktu wyjścia. Nie mogę ryzykować i właśnie dlatego siedzimy tutaj, w gabinecie pana Armoura, na trzy dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. Prawdziwie last minute. Ale przynajmniej to nie jest moja wina. Rodzice do końca sprzeciwiali się mojej przeprowadzce, jednak w końcu ustąpili. Udało się, przynajmniej w pewnym stopniu, dzięki Margot. Choć myślę, że fakt, że złamałam ojcu serce, też trochę pomógł. I chyba byli również po prostu zmęczeni.

Wyłączyłam się z rozmowy i teraz rozglądam się po gabinecie. Nie ma tu zbyt wielu interesujących rzeczy — kilka doniczek z kwiatkami, które chyba należałoby już podlać i kilka prywatnych fotografii dyrektora. Na ścianie wisi dyplom z uniwersytetu w Michigan. Na imię ma Alvin. Ech. Co to w ogóle za imię? Pewnie nawet nic nie znaczy, ale i tak zamierzam później to sprawdzić. Zastanawiam się właśnie nad jego pochodzeniem, kiedy kątem oka dostrzegam, że Margot wyciąga teczkę i podaje ją dyrektorowi. Dokumentacja medyczna. Bogata.

Kiedy on przegląda papiery, mój wzrok przykuwa stojąca na jego biurku oldschoolowa metalowa temperówka — taka na korbkę. Przedmiot wydaje mi się dziwny. Biurko z wiśniowego drewna jest eleganckie, zupełnie inne od tych seryjnie produkowanych badziewi, które stoją w salach lekcyjnych, udając biurka dla nauczycieli. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ktoś miałby przyczepiać do takiego mebla coś tak archaicznego. Te rzeczy do siebie zupełnie nie pasują. Kusi mnie, by o to spytać. Zamiast tego skupiam się na szeregu otworów, w które wkłada się ołówki i zasta-

nawiam się, czy w któryś z nich udałoby mi się zmieścić mój mały palec. Rozważam właśnie, czy bardzo by bolało i ile byłoby krwi, kiedy dociera do mnie, że ton głosu pana Armoura uległ zmianie.

— Zupełnie? — pyta trochę nerwowo.

— Zupełnie — potwierdza Margot z powagą. Widać, że świetnie czuje się w swojej roli.

— Rozumiem. No cóż, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Dopilnuję, by do poniedziałku wszyscy nauczyciele zostali poinformowani. Czy wypełniła już formularz? — Oto doszliśmy do momentu, w którym zaczął mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było. Margot podaje mu formularz, a on szybko przebiega po nim wzrokiem. — Przekażę to do działu organizacji zajęć i do poniedziałku przygotowują jej plan lekcji. Nie mogę jednak zagwarantować, że dostanie się na wszystkie wybrane przez siebie zajęcia. W większości grup nie ma już miejsc.

— Rozumiemy. Jestem pewna, że zrobi pan wszystko, co w pana mocy. Doceniamy pańską pomoc i — oczywiście — dyskrecję — dodaje Margot. To zawoalowane ostrzeżenie. A teraz bierz go, Margot. Wydaje mi się, że atak nie jest jednak potrzebny. Odnoszę wrażenie, że on naprawdę chce pomóc. A poza tym czuję, że wywołuję w nim poczucie dyskomfortu, więc raczej będzie starał się mnie unikać.

Pan Armour odprowadza nas do drzwi, ściska dłoń Margot i lekko kiwa głową w moją stronę z tym takim dziwnym, wymuszonym uśmiechem, który może być oznaką litości lub, co też nie jest nieprawdopodobne, pogardy. Szybko odwraca wzrok. Wychodzi z nami do sekretariatu, gdzie nadal panuje chaos, i prosi, abyśmy chwilę tu zaczekały. Sam idzie gdzieś dalej z moimi dokumentami.

Rozglądam się i rozpoznaję kilka osób, które widziałam tu już wcześniej. Kolejka nie posunęła się więc zbyt do przodu. W duchu dziękuję Bogu — temu, który najwyraźniej jeszcze we mnie wierzy — za umówione spotkanie. Wolalabym wylizać toi-toia od środka niż spędzić choćby minutę dłużej w tej kakofonii dźwięków. Stajemy pod ścianą, możliwie jak najdalej od ludzi. Wszystkie krzesła są już zajęte.

Patrzę na czoło kolejki. Przy ladzie stoi blondyn — typowy Ken. Uśmiecha się zalotnie do Pani Niemilej, jak zaczęłam w myślach nazywać sekretarkę. Pani Niemila jest wniebowzięta i wręcz promienieje. Nie potępiam jej za to. Chłopak ma ten rodzaj urody, który jest w stanie zmienić każdą szanującą się kobietę w kompletną kretynekę. Próbuję wyłowić z szumu ich dialog. Coś o pracy asystenta w sekretariacie? *A to cwaniak*. Chłopak przechyla głowę na bok i mówi coś, czego nie jestem w stanie wyłapać. Pani Niemila wybucha śmiechem i z rezygnacją potrząsa głową. Dopiął swego i zdobył to, po co tu przyszedł. Widzę, jak zmienia się coś w jego spojrzeniu. On też już jest tego świadomy. Jestem pod wrażeniem.

W tym momencie drzwi otwierają się i do sekretariatu wchodzi zabójczo piękna dziewczyna. Rozgląda się i jej wzrok zatrzymuje się na chłopaku.

— Drew! — woła, przekrzykując hałas. Wszyscy odwracają się w jej stronę, lecz ona zdaje się tego nie zauważać. — Nie będę siedzieć przez cały dzień w samochodzie! Chodź już! Przyglądam się jej. Jest blondynką, tak jak Drew, ale jej włosy są odrobinę jaśniejsze, jakby całe lato spędziła na słońcu. Jest atrakcyjna w ten wyzywający, ostentacyjny sposób — ma na sobie różową, wiążaną na szyi bluzkę,

dobrze wypełnioną z przodu i idealnie dopasowaną kolorystycznie, różową torebkę Coach. Chłopak wygląda na lekko rozbawionego jej zniecierpliwieniem. Pewnie to jego dziewczyna. Pasują do siebie. *Zrywający majtki spojrzeniem Ken i nadąsana lalka Barbie — nierzeczywiste wymiary, markowa torebka i grymas niezadowolenia w komplecie!*

Ken, to znaczy Drew, unosi palec na znak, że skończy za minutę. Ja na jego miejscu podniosłabym inny palec. Uśmiecham się lekko na tę myśl, a kiedy spoglądam na niego, on patrzy prosto na mnie i odpowiada takim samym uśmiechem z figlarnym błyskiem w oku.

Pani Niemiła szybko bazgrze coś na jego formularzu i podpisuje się na dole. Podaje mu dokument, ale on wciąż nie odrywa wzroku ode mnie. Wskazuję sekretarkę i unoszę pytająco brwi: *No co? Nie weźmiesz tego, po co przyszłaś?* Drew odwraca się, bierze formularz z jej ręki, dziękuje i puszcza do niej oko. Wyobrażacie to sobie? Młody chłopak mruga do sekretarki w wieku menopauzalnym. Jest tak rażąco bezpośredni, że to niemal budzi podziw. *Niemal.* Ona tylko potrząsa głową i odpędza go od siebie. *Świetna robota, Ken, naprawdę świetna.*

Podczas gdy ja bawiłam się oglądaniem tego małego dramatu biurowego, Margot szeptała na boku z kobietą, która, jak zakładam, jest panią pedagog. Drew, którego w myślach nadal zamierzam nazywać Kenem, stoi przy drzwiach i rozmawia z kilkoma chłopakami na końcu kolejki. Zastanawiam się, czy celowo próbuje wkurzyć Barbie. To chyba nie jest szczególnie trudne.

— Chodźmy — mówi Margot, popychając mnie w kierunku drzwi. Zanim jednak zdążymy wyjść, za naszymi plecami rozlega się głośno:

— Przepraszam! — Wszyscy odwracają się w stronę kobiety, która podnosi teczkę z dokumentami i kieruje ją wyraźnie w moją stronę. — Jak się wymawia to imię?

— *Na-stia* — sylabizuje Margot, a ja kulę się w sobie, czując obecność wszystkich tych ludzi wokół nas. — *Nastia Kasznikow*. To rosyjskie nazwisko. — Ostatnią uwagę rzuca już przez ramię, z jakiegoś powodu wyglądając na bardzo z siebie zadowoloną. Gdy wychodzimy, czuję spojżenia na plecach.

Kiedy docieramy do samochodu, wypuszcza głośno powietrze i cała jej postawa zmienia się — znów jest tą Margot, którą znam. — No to pozamiatane. Przynajmniej na razie — mówi. Rzuca mi ten swój olśniewający, amerykański uśmiech. — *Lody?* — pyta takim tonem, jakby potrzebowała ich bardziej niż ja. Odpowiadam uśmiechem, ponieważ nawet o tak wczesnej porze istnieje tylko jedna właściwa odpowiedź na to pytanie.

Żyję w świecie, w którym nie ma magii i cudów.
Nie ma tu jasnowidzów, istot zmiennokształtnych, aniołów
ani superbohaterów, którzy mogliby cię ocalić. Tu ludzie umierają,
muzyka staje się coraz gorsza i wszystko jest do bani.
Rzeczywistość tak mocno przyciska mnie do powierzchni
tej planety, że są dni, kiedy zastanawiam się, jakim cudem
jestem w stanie oderwać stopy i iść.

Nastia Kasznikow, niegdyś utalentowana młoda pianistka,
pragnie teraz tylko dwóch rzeczy: żeby nikt w nowej szkole
nie odkrył jej przeszłości oraz by chłopak, który odebrał
jej wszystko – tożsamość, ducha, wolę życia – za to zapłacił.

Historia Josha Bennetta nie jest owiana żadną tajemnicą:
stracił kolejno wszystkich, których kochał, i teraz, w wieku
siedemnastu lat, nie ma już nikogo. Chce jedynie, by ludzie
zostawili go w spokoju. I tak się dzieje, bo wszyscy wolą zejść
z drogi osobie, która tyle razy stanęła ze śmiercią twarzą w twarz.

Wszyscy oprócz Nastii, tajemniczej nowej dziewczyny w szkole.
Nastia zaczyna coraz częściej pojawiać się w życiu Josha,
aż w końcu staje się jego częścią. W miarę jak ich przyjaźń
się zacieśnia, rośnie liczba pytań bez odpowiedzi,
a Josh zaczyna się zastanawiać, czy kiedykolwiek pozna
skrywane przez Nastię tajemnice – i czy w ogóle tego chce.

Morze spokoju to fascynująca, intensywna i genialnie
skomponowana opowieść o samotnym chłopcu,
kruchej dziewczynie i cudzie drugiej szansy.



ENDORFINA



/WydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoEndorfina

ISBN 978-83-8231-313-0



9 788382 313130

MT2313E

Cena 44,90zł